

Sierra Simone

Między
królem
a królową

*Amerykański
książę*



Sierra Simone

*Amerykański
książe*

PRZEŁOŻYŁ
Marcin Stopa



TYTUŁ ORYGINAŁU:

American Prince

Redaktor prowadząca: Marta Budnik

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Beata Wójcik

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Dorota Zietek (Shutterstock.com)

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2017 Sierra Simone.

Copyright © 2019 for the Polish edition

by Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Marcin Stopa, 2019

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2019

ISBN 978-83-66234-76-5



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

A black and white photograph of a man with short, styled hair and a light beard. He is wearing a dark suit jacket over a light-colored shirt and a dark tie. He is looking down and to the right, with his right hand resting on his chest. The background is a plain, dark grey.

CZĘŚĆ II

Książę

1

Embry

przed

*R*óla poznałem, mając dwadzieścia jeden lat.

Ale opowiadanie o tym byłoby wybieganiem w przyszłość.

Zacznijmy ode mnie, Embry'ego Moore'a, syna budzącej ogólny strach gubernator Vivienne Moore. W oczach świata musiałem jawić się jako książątko. Dorastałem, galopując na własnym koniu i żeglując jachtem po należącem do nas pieprzonym jeziorze, uczyłem się w najlepszych szkołach, wcześniej zakończyłem naukę w college'u i pojechałem na wojnę, wyobrażając sobie, że wojaczka to niezła zabawa.

I tak było, zanim wojna zaczęła się naprawdę, gdy jeszcze ludziom wydawało się, że karpatiańscy separatyści uspokoją się, jak to dotąd zwykle z nimi było. Z początku zatem wyglądało to na wspaniałą przygodę: pobawić się w żołnierza wśród malowniczych gór, a zarazem zbierać punkty do cefalki przydatnej w dalszej, nieuchronnie czekającej mnie karierze politycznej.

Tak to jest z książętami.

Łatwizna.

I rzeczywiście *było* łatwo... przez pierwszy miesiąc.

Pewnego wieczora zachciało mi się papierosa. Przegapiłem przez to początek bójki. W różowym zmierzchu przestała mnie razić nawet brzydota przysadzistych budynków bazy i pamiętam, że gdy zabrałem z łóżka srebrną papierośnicę i wracałem z nią truchtem przez dziedziniec, myślałem o tym, że świat nie mógłby być piękniejszy, niż był w tamtej chwili. Smugi oranżu, czerwieni i purpury na zachodzie, ciemny zarys górskich grani na wschodzie, rześkie, czyste powietrze i obietnica gwiazd migocących ponad moją głową. Co mogłoby być wspanialszego? Co innego mogłoby zatrzymać bieg moich myśli i zaprzeć dech w piersi, pozostawiając jedynie najgłębszy podziw i wdzięczność przeplatającą się z niedowierzaniem?

To pokazuje, jak odmiennie wtedy myślałem, pytając, *co* zamiast *kto*.

Biegłem przez dziedziniec, wyciągając papierosa, żeby go zapalić, gdy niewyraźny szaro-brązowo-zielony kształt przemknął obok mnie i wpadł na drugą sylwetkę w tych samych zgaszonych barwach. Odskokczyłem, papieros wytrącony z mojej ręki został zdeptany, a mnie samego omal nie wciągnęło tornado pięści i butów, wokół którego szybko tworzyło się zbiegowisko.

– To był mój ostatni papieros, dupku – rzuciłem w powietrze.

Duży gość, na którego wołałiśmy Dag – nikt już nie pamiętał, jak naprawdę się nazywał – przypatrywał się bójce z założonymi rękami i wyrazem obrzydzenia na twarzy.

– Idioci.

Mruknałem potakująco. W kantine przestano ostatnio sprzedawać papierosy w ramach kolejnej inicjatywy prozdrowotnej, a ja naprawdę, *naprawdę* nie miałem ochoty maszerować półtora kilometra do położonej w dole ukraińskiej wioski po paczkę fajek na wieczór. Teraz jednak wyglądało na to, że spacer mnie nie minie.

– Zamierzasz coś z tym zrobić? – spytał Dag, wskazując ruchem głowy kłębowski ciał.

– Po tym, jak zdeptali mi papierosa? Zaslugują na podbite oczy – zażartowałem, ale Daga mój żart nie rozśmieszył. – Zresztą to nie moi ludzie.

To była bardzo wielka pierdolona baza. Nie zamierzałem marnować sił na dwóch idiotów bijących się o Bóg wie co.

– Ale jesteś tu jedynym oficerem – zauważył Dag.

– Jakby to miało jakieś znaczenie. – Rozejrzałem się i stwierdziłem, że faktycznie byłem w tym zbiegowisku najstarszy rangą.

Westchnąłem ciężko na użytek Daga i wymamrotawszy pod nosem coś w tym sensie, że nie jestem żadną pieprzoną babysitterką, ruszyłem z miejsca, by rozdzielić chłopaków i uświadomić im, że jeden z nich wisi mi papierosa.

Jednak ktoś mnie uprzedził.

Barczysty mężczyzna wkroczył w sam środek bójki tak spokojnie, jakby spacerował po plaży, chwycił jednego z żołnierzy za koszulę na karku i odciągnął go od przeciwnika. Natychmiast potem obezwładnił drugiego, a uczynił to wszystko tak szybko, że ledwie zarejestrowałem wzrokiem drobne szczegóły jego sylwetki. Błyszczące oczy. Pełne usta. Ciemne włosy. Oliwkowa karnacja tego rodzaju,

z jaką człowiek przychodzi na świat, tego rodzaju, co przez całą zimę zachowuje ciepły odcień brązu. Włoch, a może Grek.

– Ja pierdolę – powiedział Dag z uznaniem. Albo i bez. Czasem trudno było go rozszyfrować.

Z baraku mieszczącego koszary wyszedł Percival Wu, jeden z naszych tłumaczy, i przystanął za nami.

– To Colchester – odezwał się ściszym głosem. – Przyjechał wczoraj.

W tamtej chwili nie obchodziło mnie, kto to taki. Ulżyło mi, że nie muszę wdawać się w kretyńską awanturę, i tyle. Szczerze mówiąc, zaledwie przed kilku miesiącami opuściłem mury szkoły oficerskiej i wciąż jeszcze odczuwałem komenderowanie podwładnymi jako coś krępującego.

Wychowałem się w kręgu władzy, pośród ludzi, którym wydawanie rozkazów przychodziło bez wysiłku, jednak sam na ogół unikałem brania na siebie odpowiedzialności za cokolwiek. Konsekwencje to było coś, od czego się wy-migiwałem, a ludzie obchodzili mnie o tyle, o ile zapewnia-li mi dobrą zabawę. Nie miałem żadnego doświadczenia w troszczeniu się o innych... Sam ledwie unikałem pakowania się w tarapaty.

Zresztą prawdę mówiąc, nie bardzo się o to starałem. Po co miałbym to robić, skoro na ogół wynikała z nich wyłącznie dobra zabawa?

Zdaję sobie sprawę, że mówiąc to, wychodzę na egocentryka i egoistę, bo też taki właśnie byłem. Byłem złym, samolubnym dzieckiem, które wyrosło na złego, samolubnego dorosłego... Jednak należy pamiętać, że egoizm nie jest równoznaczny z byciem niepomnym swoich występków.

Zdawałem sobie sprawę z tego, jak bardzo byłem zły. Wiedziałem, jak strasznie grzeszyłem, choć mówiłem sobie, że nie wierzę w grzech. Późną nocą, po pijatyce, pierdoleniu lub bójce, zależnie od okoliczności, leżałem w łóżku i patrzyłem w gwiazdy kręcące się nade mną na nocnym niebie i wiedziałem – po prostu *wiedziałem* – że jest we mnie coś sprzecznego z naturą. Byłem świadom tego, że niektórzy ludzie przychodzą na świat niedobrzy, spaczeni, naznaczeni wewnętrzną pustką, i wiedziałem, że urodziłem się bez tego czegoś, co czyni ludzi odważnymi, czystymi lub dobrymi. Zdawałem sobie sprawę z tego, że urodziłem się bez sumienia, czy może bez serca lub bez duszy. Rozmyślałem nad tym, aż w końcu zwijałem się pod kołdrą w kłębek i wciskałem twarz w poduszkę. A kiedy uchodziło ze mnie powietrze, wspominałem okropności popełnione tamtego dnia. Rozpamiętywałem okropności popełnione w ciągu całego życia. I nienawidziłem siebie za to całe zło. Nienawidziłem siebie za swój egoizm, za swój bezmyślny egocentryzm i obojętność. Zdawałem sobie sprawę, że nie powinienem poddawać się impulsom gniewu, żądy czy pragnienia ucieczki od rzeczywistości aż po ich nieunikniony krwawy, lepki bądź pogrążony w odurzeniu finał, a jednak to czyniłem.

Za. Każdym. Razem.

Lecz wówczas był dopiero wczesny wieczór, jeszcze nie zapadła noc wraz z nieodłącznym poczuciem odrazy do samego siebie. W tamtej chwili czułem wyłącznie ulgę i niejasną wdzięczność, a także chętkę na papierosa.

– No i po widowisku – powiedziałem do Daga i odwróciłem się, by ruszyć w drogę do wioski. I wówczas zdałem sobie sprawę, że ktoś za mną stanął. I nie był to ani smukły

Wu, ani zwalisty Dag. Znieruchomiałem, ale nie odwróciłem się.

Nie od razu.

– Zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego papieros jest dla ciebie ważniejszy od twoich ludzi, poruczniku?

To był głos tego rodzaju, który każe ci przystanąć. Głębokoci, owszem, i w ciekawy sposób jednocześnie ochrypli i dźwięczny, jak melodia, której nuty zostały opalone wzdłuż krawędzi.

Jednak to nie brzmienie głosu wstrzymywało moje kroki... to jego czystość. Siła. Nie buńczuczność bez pokrycia, jakiej pozorem często chełpią się młodzi mężczyźni, lecz autentyczna siła.

Spokojna, czysta, rzetelna.

Jednoznaczna.

To był głos człowieka, który nocami nie zwija się w łóżku, myśląc, że wolałby się nigdy nie narodzić.

Odwróciłem się, wytracony z równowagi już przez sam ten głos, ale na widok twarzy poczułem się znokautowany. Ciemne brwi nad oczami o tak złożonym odcieniu zieleni, że nie potrafiłem orzec, czy tak naprawdę były jasne, czy ciemne. Usta nieskłonne do śmiechu, wydatne kości policzkowe, a do tego kwadratowa szczeka porośnięta ciemną szczecina. Wziąwszy pod uwagę superregulaminową fryzurę i połysk butów, stojący za mną mężczyzna nie wyglądał na niechluj zaniehbującego poranne golenie. Po prostu Colchester należał do tych facetów, których twarz nie pozostaje gładka dłużej niż przez kilka godzin.

Jednak nie tylko rysy miał uderzające. Przed wszystkim wyraz twarzy, spojrzenie. Wydawał się w moim wieku, a mimo to w jego obliczu było coś takiego, co czyniło go

ponad wiek dojrzałym. Jak tak teraz o tym myślę, to nawet nie była kwestia wieku. Raczej kwestia *czasu*. Wyglądał jak człowiek z innej epoki, który powinien jechać konno przez gęstwinę lasu, ratować damy w tarapatach i uśmiercać smoki.

Szlachetnie.

Heroicznie.

Królewsko.

Wszystko to przebiegło mi przez myśl w mgnieniu oka. I już w następnym momencie ogarnęło mnie niespodziewane, krępujące uczucie, jakby on właśnie zobaczył dość, żeby przeniknąć *mnie* na wylot, żeby przejrzeć na wskroś mój egoizm, pustą zmysłowość i leniwą rozwiązłość. Jakby widział czy przeczuwał wszystkie te noce, kiedy wciśkałem twarz w poduszkę i żałowałem, że nie starcza mi odwagi, by raz na zawsze zakończyć swoją marną egzystencję.

Naraz zrobiło mi się wstyd. Zawstydziłem się tego, że jestem sobą. Tego, że jestem Embrym Moore'em – pieprzonym, gównem wartym podporucznikiem Embrym Moore'em. I to mnie wkurzyło. Bo kim niby był ten pieprzony przystojniak, żeby mnie zawstydząć? Tylko *ja sam* mogłem wzbudzać w sobie to uczucie.

Zbliżyłem się do niego na dwadzieścia centymetrów, prężąc pierś w bojowej postawie. Nie bez satysfakcji odnotowałem, że góruję nad nim wzrostem o ponad dwa centymetry, on z kolei miał co najmniej dziesięć kilogramów muskulatury więcej ode mnie. Jednak jeszcze większą satysfakcję sprawiło mi odkrycie, że nosi na mundurze złotą belkę. Podporucznik jak ja.

Odzyskałem głos.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A
15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059